

DŁUGA DROGA DO SZKOŁY JUNACKIEJ

Miałem złe dzieciństwo, a później jako człowiek dorosły, twarde życie na obczyźnie. Jednak mimo wielu przeciwności losu nie opuszczała mnie nigdy pasja życia i przyśłowia odrobina szczęścia. Nawet to, że przeżyłem syberyjskie piekło i dojrzałem do szkoły junackiej, mogę uznać za dar opatrności, która chyba do tej pory czuwa nade mną.

Jako syn osadnika wojskowego z osady Budowla na grodzieńszczyźnie, po deportacji, znalazłem się na północy nieludzkiej ziemi, w Nikulińskiej Bazie, Mołotowskiej obłastii. Tam jako małe dziecko pracowałem ciężko i żyłem z dnia na dzień w skrajnej syberyjskiej biedzie.

Jesienią 1941 roku, po amnestii dla Polaków, pierwsza grupa starszej młodzieży wyjechała z posesiłka do formującego się Wojska Polskiego. Razem z nimi wyjechał także brat Mietek, najstarszy wśród rodzeństwa. Po dwóch tygodniach wyjechał także ojciec wraz z kilku innymi starszymi mężczyznami. Niestety ci starsi nie znając geografii Syberii, zblądzili i utknęli w jakimś kołchozie. Po wielu latach dowiedziałem się, że ojciec mocno schorowany, dotarł do wojska Berlinga. Wkrótce zmarł z wycieńczenia w szpitalu polowym.

Przy wyjeździe brata i ojca nie byłem obecny. Pracowałem przy wykopkach ziemniaków w odległym kołchozie. Zarobiłem wtedy 11 kg mąki i 15 kg kartofli. Cały swój zarobek przyniosłem na plecach idąc piechotą 20 kilometrów.

Po kolejnych kilku tygodniach, staraniem Ambasady Polskiej w Kujbyszewie, zorganizowano nam wyjazd z posesiłka do Kujbyszewa. Cały tydzień na pokładzie statku płynęliśmy Kamą do rzeki Wołgi. Na czas podróży dostaliśmy po 400 g chleba, a na statku mogliśmy otrzymać tylko gotowaną wodę. Na szczęście mieliśmy zapas suszonego chleba i trochę mąki, którą zaparaliśmy gotowaną wodą. Dopiero, gdy dotarliśmy do Wołgi dostaliśmy chleb i gorącą zupę.

Podczas następnego odcinka podróży Wołgą do Kujbyszewa wystąpiły nieprzewidziane kłopoty, bo rzeka zamarzała i statek nie mógł płynąć. Zakwaterowano nas w kołchozie i rozpoczęło się przewożenie samochodami do Kujbyszewa. Wskutek ciężkiej zimy, nieprzejezdności dróg i braku odpowiednich środków lokomocji, część polskich rodzin pozostawiono w kołchozie. Kilku zdesperowanych chłopaków, a wśród nich Tadeusz Piołunowicz przybyło do Kujby-

szewa, pokonując piechotą 50 kilometrów odległość.

W Kujbyszewie zakwaterowano nas w szkole, dano jeść i trochę łachów. Było nam dobrze. Ja podjąłem pracę w Ambasadzie, rąbiąc drewno na opał i pałac w piecach. Zarabiałem nieźle i wystawiałem w kolejkach przed sklepami, ażeby zaopatrzyć rodzinę. W Kujbyszewie zmarło wiele polskich dzieci. Zmarli też moi dwaj młodszy bracia.

Polscy oficerowie odjeżdżali z Kujbyszewa do naszego wojska, tworzącego się na południu Rosji. Do składu pociągu dołączono jeden wagon, którym zabrano małoletnich chłopców, ochotników do szkoły junackiej. Zdecydowałem pojechać razem z nimi, chociaż miałem poważne skrupuły. Swego czasu czułem żal do ojca za to, że opuścił nas w Nikulińskiej Bazie, a teraz sam zdecydowałem się odjechać. Rodzina nasza rozpadała się coraz bardziej i nie było żadnej nadziei na to, że pozbiera się kiedyś w przyszłości.

Był już kwiecień, gdy przybyliśmy do Uzbekistanu. Okazało się, że szaleją tu tyfus, cholera, malaria i czerwotka. Nasi ludzie umierali dziesiątkami. Po pięciu miesiącach zarządcono ewakuację do Iranu. Na kilka dni przed wyjazdem do Krasnowodska zachorowałem na czerwotkę. Nogi mi puchły i zdawało mi się, że dni moje są już policzone. Był sierpień. W nocy nastąpił wy-

marsz z całym oporządzeniem do stacji kolejowej, odległej o 100 km. Wszyscy wiedzieliśmy, że kto nie dojdzie zostanie w Rosji, może na zawsze... Szliśmy całą noc. Z każdym kilometrem robiłem się słabszy. Po drodze wyrzucałem ciężące mi wyposażenie. Miałem jednak szczęście, dojechałem do stacji kolejowej. Tu nakarmiono nas ryżem z rodzynkami. Dostaliśmy uciążliwego rozstroju żołądków. Do ustępu goniło co 15 minut.

Pociągiem dojechaliśmy do portu Krasnowodsk, skąd okręt odpłynął do Iranu. Przed wejściem na okręt wydano nam konserwy mięsne (corned beef) i chleb, co znacznie pogorszyło nam rozstrój żołądków. Przeżywaliśmy straszne męki, a na okręcie były tylko dwa ustępy. Cały okręt musiał śmierdzieć na kilometr.

Jeden podchorąży zmarł podczas 9 godzinnej podróży. Ciało zaszyte w prześcieradło spuszczone do morza.

W Iranie na plaży przyjęli nas Anglicy. Ogolono nam wszystkie włosy i skierowano do łaźni. Po kąpieli w łaźni wydano nam świeżą odzież i zakwaterowano w szałasach ze słomy. Rozpoczęła się kwarrantanna.

Po sześciu tygodniach pobytu na plaży odwieziono nas ciężarówkami do Teheranu, a po dwóch miesiącach dalej, do Iraku. W Iraku zatrzymaliśmy się kilka tygodni. Na-

stępnymi etapami były Syria i Palestyna. Przejeżdżając przez rzekę Jordan zatrzymaliśmy się, aby dokonać symbolicznej kąpeli.



Stanisław Klęk jako junak w Szkole Łączności

Przez kilka miesięcy stacjonowaliśmy między Nazaretem a Betlejem, zwiedzaliśmy miejsca święte. Dla nas chłopaków, jeszcze nie tak dawno zdegradowanych przez Sowietów do najniższej kategorii niewolników, było to wielkie szczęście, wielka radosna przygoda.

W Palestynie zorganizowano kursy przygotowawcze do szkół junackich, a następnie komisja dokonała kwalifikacji do szkół: lotniczej, łączności i mechanicznej. Z grupą kandydatów na łącznościowców

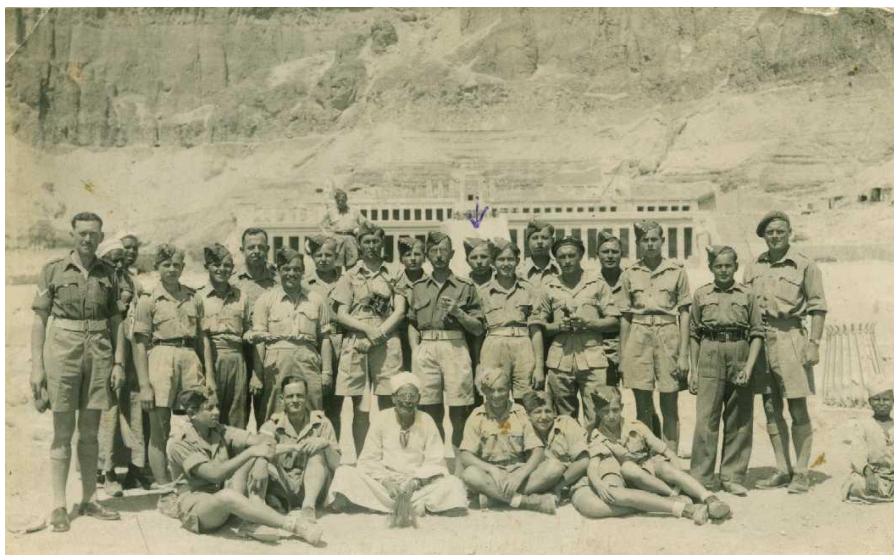
wyjechałem do Egiptu, do angielskiego ośrodka szkolenia wojsk łączności. Tam zaczęła się intensywna nauka, stałem się żołnierzem, rozpoczynając nowy etap życia, według regulaminu wojskowego.

Dwaj polscy nauczyciele uzupełniali nasze braki z zakresu szkoły podstawowej, a Anglicy szkolili nas na radiotelegrafistów.

Żyliśmy nie tylko intensywną nauką. W niedziele i dni wolne organizowano nam wycieczki. Nawet wysłano nas na dwutygodniowy wypoczynek na plażach Aleksandrii.

Ośrodek nasz znajdował się w odległości 26 km od Kairu. Po przeciwnej stronie miasta stacjonowała amerykańska brygada, w której służyło wielu żołnierzy polskiego pochodzenia. Brygada nawiązała z nami kontakty. Zaproszono nas do brygady na Święta Bożego Narodzenia. Goszczono nas serdecznie. Był obiad z indyka i dostaliśmy wiele prezentów. Żołnierze dali nam przy pożegnaniu paczki Czerwonego Krzyża. Po świętach, za własne zebrane pieniądze wysłali nas na trzy dni do Luxoru, gdzie byliśmy zakwaterowani w hotelu.

Piszę o tych przyjemnych przeżyciach, bo do dziś pamiętam wrażenia jakie robiła na nas konfrontacja życzliwości i poszanowania z sowiecką cywilizacją nienawiści i strachu, którą poznaliśmy na



Na wycieczce w Dolinie Królów. Luxor 1943 r

niełudzkiej ziemi. Nieraz zastanawiam się na ile poprawił się los ludzi żyjących obecnie na ogromnych obszarach Rosji.

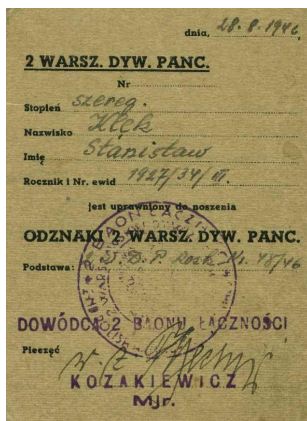
Szkolenie trwało półtora roku. Ukończyłem szkołę podstawową i uzyskałem dyplom radiotelegrafisty. Na uroczyste zakończenie szkolenia

przyjechali Anglicy z Kairu, filmowali nas i orzekli, że byliśmy najlepszą szkołą łączności na Bliskim Wschodzie.

Skierowano nas do służby w Wojsku Polskim nad Kanałem Sueskim, gdzie przebywały jeszcze nieliczne techniczne jednostki, bo jednostki liniowe korpusu wyjechały do



General Anders przeprowadza inspekcję polskiego skrzydła



*Legitymacja Odznaki 2 Warszawskiej Dywizji
Pancernej*

Włoch. Tu ukończyłem szkołę podoficerską, bo miałem być instruktorem.

Drugi Korpus poniósł duże straty pod Monte Cassino, toteż wysłano nas do Korpusu na uzupełnienia. Przybyłem do Włoch, gdy trwała ostatnia ofensywa na Bolonię. Przydzielono mnie do Dowództwa Brygady Czołgów.

Po wojnie przez rok mieliśmy status wojsk okupacyjnych we Włoszech. Pracowałem na stacji kontroli ruchu radiowego. W Drugiej Warszawskiej Dywizji Pancernej wychodziła gazeta „TARAN”. Kilku nas łącznościowców na zmianę odbieraliśmy wiadomości korespondentów amerykańsko-angielskich, w godzinach 23⁰⁰–24⁰⁰ (morsem 100 liter na minutę), od 24⁰⁰ do 01⁰⁰ – wiadomości z Warszawy dyktandem, a następnie

skrzynka poszukiwań, trwająca zwykle pół godziny.

Dyżury pełniliśmy co drugi dzień przez 9 godzin, czasu wolnego mieliśmy dużo, a przy tym żołądek dość wysoki. Na dziesięć dni wypłacano nam 1800 lirów, co przy cenach np. za bilet do kina 40 lirów, czy

litra wina 60 lirów – było sumą zadowalającą. Pogoda dopisywała, a do plaży nad Adriatykiem było blisko.

Rok pobytu we Włoszech na okupacji wspominam również miło. Był to czas odreagowania przeżyć w ponurych latach wojny.

W sierpniu 1946 roku nastąpił wyjazd do Anglii, gdzie przez sześć miesięcy zatrudniano mnie na centrali telefonicznej dowództwa angielskiej dywizji.

W lutym 1947 roku nastąpiła demobilizacja. Zaproponowano mi pracę na dole w kopalni węgla. W kopalni szczęśliwie przepracowałem 37 lat. Otrzymałem dobrą odprawę i wysoką emeryturę. Żyję beztrudnie i wiem, że opaczność nadal czuwa nade mną.